„Teatr spełnionych nadziei” – opowieść o polskim teatrze w Toronto.

Panorama Toronto od strony jeziora Ontario, fot.: Jacek Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

27 października 2016 r. na XX Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie miała miejsce premiera książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (wyd. Novae Res). Jest to opowieść o teatrze w Toronto założonym przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego z Krakowa, Marię Nowotarską. Oto fragment wstępu – jak powstawała książka.

Gdy wylądowałam w Toronto na lotnisku Pearson po wielogodzinnej podróży, w moje imieniny, 24 maja 2001 roku, z niepewnością myślałam, co mnie tu czeka. Zaczynał się nowy rozdział w moim życiu. Jaki, to się dopiero miało okazać. Na razie były tylko labirynty korytarzy, ruchome schody, windy i wielkie szyby, w których widziałam swoje odbicie. (…) Lądując na lotnisku Pearson, wiedziałam, że mój świat, jedyny w swoim rodzaju, który sobie urządzałam wiele lat, zostawiam za sobą bezpowrotnie. Nie, nie żałowałam, ale liczyłam się z tym, że w Kanadzie, w mało uniwersalnym zawodzie nie znajdę pracy. Dokonałam jednak wyboru między moim polskim życiem, z kochającą rodziną, na którą zawsze mogłam liczyć, przyjaciółmi, znajomymi miejscami, a emigracyjnym, nieznanym, zaoceanicznym światem Jacka. Zdawałam sobie sprawę, że kończy się jakiś etap, a ja zamykam za sobą drzwi na zawsze.

Spotkanie z teatrem

Pamiętam ten wieczór bardzo dobrze. Małgorzata Bonikowska, redaktor do spraw kultury w torontońskiej „Gazecie”, wysłała mnie na spektakl Marii Nowotarskiej o Marianie Hemarze, z prośbą, żebym napisała recenzję. Szłam z mieszanymi uczuciami, wydawało mi się, że na emigracji nie ma warunków, aby mógł powstać zawodowy teatr, i że zapewne wysłucham paru piosenek, wierszy i na tym się skończy. Do tego Paweł Deląg zaproszony na spektakl, jako gwiazda wieczoru, w ostatniej

chwili odwołał przyjazd do Toronto. Przedstawienie jednak bardzo mnie zaskoczyło. To był w pełni udramatyzowany spektakl teatralny, z akcją, kostiumami, dekoracją, w przeznaczonej do tego sali teatralnej Burnhamthorpe Library Theatre w Mississaudze. Występujący artyści byli profesjonalistami, do tego dobrze przygotowanymi i wyreżyserowanymi. Dowiedziałam się też dużo o Hemarze, o różnych etapach jego życia, marzeniach i rozczarowaniach. Mimo że znałam jego teksty, podczas tego spektaklu po raz pierwszy zobaczyłam Hemara jako żywego człowieka, a nie odeszłą w przeszłość legendę. Postać została uplastyczniona poprzez odpowiednio zbudowany scenariusz i czar sceny, któremu poddali się wszyscy uczestnicy. Zauważyłam wśród publiczności śmiech, radość i łzy wzruszenia. Zapewne razem z Hemarem zostały wyciągnięte z zakamarków emigracyjnej duszy własne wspomnienia o białych bzach pachnących w maju, kiedy szło się za rękę z ukochanym, czy inne momenty sentymentów młodości. Poczułam wtedy, że twórcy tego teatru podchodzą do pracy z wielkim szacunkiem dla widza i swoją bezinteresowną, ciężką pracę dają nam, dorosłym Polakom na emigracji i młodemu pokoleniu, które urodziło się w Kanadzie. Budują pomost dla naszej tożsamości, pomiędzy ojczyzną a krajem, który adoptowaliśmy. Po spektaklu za kulisami pojawił się profesor Florian Śmieja, iberysta i poeta mieszkający kiedyś w Londynie, który chodził na „hemarowe” spektakle. Ten wieczór przywołał też i jego wspomnienia. Byłam pod wrażeniem

połączenia historii, legendy i rzeczywistości. Otwierał się przede mną sezam ze skarbami kultury, pasją tworzenia i misją do spełnienia. Zapragnęłam o tym wszystkim pisać. To był nowy obszar, w który wchodziłam. Uwierzyłam, że i tu, w Kanadzie, mogę znaleźć swoją wyspę i nie muszę żegnać się z zawodem.

Propozycja

Maria Nowotarska i Jerzy Pilitowski na balkonie swojego apartamentu, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Dom Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego okazał się

bardzo przyjazny. Wielki, miękki fotel, w którym można było się zapaść bez reszty i zapomnieć o całym nieartystycznym świecie, zapach pysznego placka ze śliwkami – specjalność Jerzego Pilitowskiego – żarty, śmiechy, rozmowy przez telefon, drobne chwile, których się nie zapomina, pozornie ulotne zdania, będące życiową nauką. W tej rodzinnej atmosferze powstawały pomysły sceniczne, starałam się je uchwycić w momencie tworzenia i obserwować ich rozwój. Lubiłam wielogodzinne rozmowy i ten specyficzny nowotarsko-pilitowski klimat. A potem, jadąc metrem ze stacji High Park do stacji Lawrence, z przesiadką na Yonge i Bloor, obmyślałam zapowiedzi teatralne do „Gazety". Żyłam każdym kolejnym spektaklem, uczestniczyłam w jego powstawaniu. I tak minęły trzy lata, od kiedy znalazłam się w Toronto. W okresie świąt Bożego Narodzenia 2004 roku zostaliśmy z Jackiem zaproszeni przez Marię i Jerzego na kolację. Biesiadowaliśmy przy dużym stole nakrytym ciężką, bordowo-złotą, ozdobną tkaniną z frędzlami, Jerzy Pilitowski otworzył *icewine*. W tej „christmasowej" i domowej atmosferze z radością przyjęłam propozycję napisania książki o Salonie Poezji, Muzyki i Teatru – tym kulturalnym emigracyjnym fenomenie.

Jak powstawała książka

Głowę miałam pełną pomysłów. Książka o scenie, spektaklach, twórcach, ciężkiej pracy w trudnych warunkach i wielkiej pasji… Materiał ogromny, wiele osób przewinęło się przez scenę.

Zaczęłam się umawiać na rozmowy. Najczęściej w apartamencie Marii i Jerzego z balkonem pełnym kwiatów i ziół, a po ich przeprowadzce na jedenaste piętro dodatkowo z widokiem na jezioro Ontario i torontońskie Downtown. Siadałam na kanapie pod portretem Marii w wielkim kapeluszu autorstwa Ilony Biernot i popijając kawę z porcelanowej filiżanki, pytałam, słuchałam, nagrywałam. Gdy było ciepło, Maria Nowotarska wyciągała mnie na spacery do High Parku nad jeziorem Ontario. Tam na ławeczce w cieniu drzew, przy fontannie, zawsze elegancka artystka w powiewnej letniej sukience opowiadała mi o sobie i swoich pomysłach. Mówiła pięknie, literackim językiem i z dużym zapałem. Malowała wizje sceny stworzonej z teatralnej wyobraźni przywiezionej z krakowskiego teatru, z tradycji literackiej i dawnej dobrej aktorskiej szkoły. Podczas rozmów otwierała się przeszłość w masce scenicznych wspomnień. Nagrywałam też Jerzego Pilitowskiego, oglądałam fotografie, a raz nawet udało mi się namówić go na zaśpiewanie słowackiej piosenki góralskiej, po słowacku, oczywiście. Mówił, że nosi się z zamiarem spisania piosenek z czasów górskich wędrówek, póki je pamięta.

Obserwowałam, jak powstaje teatr od kuchni. Próby do Powstania Warszawskiego odbywały się w siedzibie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów przy Dundas Street. Partie za brakujące osoby czytała Maria Nowotarska. Podobno to normalne, nigdy nie ma kompletu artystów, pojawiają się dopiero

na premierze. Trudno jest pracować, markując luki w obsadzie. Zapamiętałam ogólne zdyscyplinowanie i panujący na próbie rygor, któremu wszyscy bez wahania się poddawali. Byłam też na próbie w domu skrzypaczki Joanny Zeman, w Niagara-on-the-Lake, wiktoriańskim miasteczku z kolorowymi kamienicami, kawiarniami, galeriami, ogrodami, z letnim stukotem końskich kopyt, jeżdżącymi po ulicach białymi powozami i słynnym festiwalem Bernarda Shaw. Dom był duży, stylowo urządzony, w zacisznej alei z widokiem na strumień. Mieścił się w nim Bed and Breakfast Chateau Gate. Joanna Zeman z dumą pokazywała smyczek należący do Henryka Wieniawskiego, a w jednym z pokoi na dole – podpisy znanych osób na ścianie. Na próbę przyjechał Kazimierz Braun z Buffalo. Ja przyjechałam samochodem z Marią i Agatą z Toronto. Po drodze zatrzymałyśmy się w niemieckiej piekarni piekącej pachnący chleb z chrupiącą skórką, który budził wspomnienia z dzieciństwa. Podobno to rytuał – Maria z Agatą zawsze tu wchodzą, jeśli jadą w kierunku Buffalo. Po wypiciu kawy ruszyłyśmy dalej. W samochodzie cały czas rozmawiałyśmy o sztuce „Promieniowanie”, o Marii Skłodowskiej-Curie.

„Promieniowanie. Rzecz o Marii Skłodowskiej-Curie” – próba w domu Joanny Zeman w Niagara-on-the-Lake. Od lewej: Agata Pilitowska, Kazimierz Braun, Maria Nowotarska, fot.: Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Próba z reżyserem to intensywna praca. Agata nie lubi prób i się z tym nie kryje. Potrzebuje widowni, wtedy potrafi dać z siebie wszystko. Próba dla niej to imitacja, spektakl przecież nie dzieje się naprawdę. Ale na próbie sztuki o Marii Skłodowskiej-Curie zdawała się utożsamiać z córką słynnej matki. Słychać było w jej

głosie autentyczną walkę o własne ja. Podczas spektaklu Agata złagodniała, była bardziej oszczędna w emocjach, a przez to bardziej wyrazista. Maria uważa próby za bardzo ważny element w procesie przygotowań. Jest uporządkowana, dla niej wielokrotne powtarzanie i praca nad tekstem są kuźnią dobrego rzemiosła teatralnego. Bo teatr to też technika, a nie tylko emocje.

Byłam nie tylko blisko sceny, ale przede wszystkim blisko jej twórców. Umawiałam się też z innymi artystami, prowadziłam długie rozmowy, pytałam o różne szczegóły. Spostrzegłam, jak bardzo ten emigracyjny teatr jest potrzebny. Przyjechało tu przecież wielu wspaniałych śpiewaków, aktorów, artystów plastyków. Zostali bez swoich teatrów, bez swojego miejsca. Często wykonują inne zawody, żeby żyć, musieli się przekwalifikować. Dzięki Salonowi realizują się, nie odchodzą od tego, co ich tworzy i wypełnia – od sztuki. A Maria Nowotarska potrafi zarazić energią i pokazać, że musi się udać, nie ma innej możliwości.

Wiosną 2005 roku podjęliśmy z Jackiem decyzję wyjazdu z Toronto. Jacek dostał propozycję pracy na Rutgers University w stanie New Jersey w USA. Otwierały się przed nim nowe możliwości zawodowe, miał pracować ze znanymi osobami w jego dziedzinie – Human Computer Interaction. W wakacje zapakowaliśmy cały swój dobytek do samochodu ciężarowego

i ruszyliśmy przez Buffalo i stan Nowy Jork, a potem góry Pensylwanii do New Jersey. Nowe życie, a w praktyce nowa emigracja, pochłonęło bardzo dużo naszej energii. Zamieszkaliśmy na pięknym osiedlu z basenem, na skraju lasu, z podchodzącymi pod okna sarnami, zającami, które godzinami mogłam obserwować, szarymi wiewiórkami i mnóstwem ptaków. Z jednej strony kontakt z naturą wzbudzał mój zachwyt, ale z drugiej, po tempie dużych miast, w których zawsze mieszkaliśmy, trudno mi było się przestawić na inne życie. Wprawdzie centrum Manhattanu oddalone było od nas tylko o jakąś godzinę drogi, ale dojazd do stacji kolejki bez możliwości zrobienia prawa jazdy okazał się przeszkodą nie do pokonania. Wypadłam przy tym z rytmu pisania książki. Brakowało mi ludzi, inspiracji, czułam się odizolowana. Pomagała mi świadomość bliskości życzliwej mi pisarki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Oleńki od Wańkowicza), mieszkającej razem z mężem Normanem w Wilmington w stanie Delaware. Zawsze mogłam się do niej zwrócić z prośbą o radę czy przyjrzeć się warsztatowi pisarskiemu.

W stałą pomoc włączyła się moja nieoceniona mama. Spisywała wywiady, co jest zwykle bardzo czasochłonne. Była moim barometrem emocji. Gdy czytałam jej jakiś fragment, a ten ją wzruszał czy zaciekawiał, zostawiałam. Gdy natomiast słuchała z grzeczności, mówiąc potem „no ładnie” czy „interesujące”, wiedziałam, że muszę jeszcze popracować, wzbogacić o pewne

szczegóły czy rozpisać na głosy. Mama wstawała o szóstej rano, wtedy było cicho i mogła się skupić. Mój srebrnobiały, skośnooki kot Maciek, którego zostawiłam rodzicom, tak się przyzwyczaił do mojego głosu dochodzącego z głośnika, że gdy minęła szósta, a moja mama nie wstawała, przychodził pod sypialnię rodziców i ją budził. A potem układał się na biurku, wsłuchując się w opowieści oraz stukot klawiszy.

Cały czas wspierał mnie Jacek. Jest osobą piszącą, więc doskonale rozumie proces tworzenia książki i opanowywania ogromnego obszaru informacji. Często z nim na ten temat dyskutowałam. Stwarzał mi warunki do pisania, rozumiejąc potrzebę powstania takiego projektu i wkładany w niego ogromny wysiłek, a także błądzenie i niepewność, która towarzyszy takiemu procesowi.

Maria

Nowotarska na wycieczce w Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Kilka razy przyjechała do nas do Stanów Maria Nowotarska, „na wczasy”, jak to żartobliwie określała. Za pierwszym razem spadł śnieg. Robiłyśmy długie spacery po przylegającym do naszego osiedla polu golfowym z kilkoma stawami, uginającymi się od białego puchu choinkami, pagórkami i długimi odcinkami wydeptanych ścieżek. Na śniegu widać było ślady saren, a my, podziwiając otoczenie, zagłębiałyśmy się w rozmowę. Maria, piękna i elegancka, w długim, ciemnym, futrzanym, rozkloszowanym płaszczu, wzbudzała zachwyty ubijających ścieżki pracowników pola golfowego, którzy na jej widok zatrzymywali swoje pojazdy i nisko się kłaniali. To samo było w Princeton, mieście Alberta Einsteina oraz uniwersytetu dla dzieci bogatych i ustosunkowanych rodziców, gdzie jaguar zaparkowany na ulicy nie jest rzadkością. Ludzie wyraźnie zwracali uwagę na naszą Marię Nowotarską, na jej ubiór, chód i gesty. Po wycieczkach i spacerach siadałyśmy przy kawie i cieście, nie przestając rozmawiać i nagrywać. Wieczorem zaś otaczał nas inny klimat. Kolacja w jadalni z widokiem na posadzoną przez nas na zewnątrz choinkę ubraną

w bożonarodzeniowe lampki, a potem herbata przy kominku i wsłuchiwanie się w opowieści z życia sceny, aktorów, teatru, na przykład o tym, jak Maria grała w filmie „Nikodem Dyzma" z Adolfem Dymszą, jak się przeziębiła w pociągu na trasie Kraków–Łódź i nie mogła zagrać wszystkich wyznaczonych na planie scen. I wiele, wiele ciekawostek o znanych nam i lubianych ludziach teatru oraz aktorskim życiu. Tyle przy tym było żartów, dowcipu i humoru, tyle w nasz dom wniosła energii i życia, że Jacek, zwany przez Marię Jacentym, zaraz po odwiezieniu jej na lotnisko zapytał, kiedy znów do nas przyjedzie.

Maria Nowotarska i Joanna Sokołowska-Gwizdka na wycieczce do Princeton, fot.: Jacek Gwizdka.

Przyjechała jesienią. Wtedy miałyśmy do dyspozycji inną gamę kolorów. Robiłyśmy sobie wyprawy na osiemnastowieczną holenderską farmę Van Wickle House nad kanałem przy rzece Raritan, około dwudziestu minut drogi od nas. To bardzo malownicze miejsce. Przy farmie jest piękny ogród z altaną obrośniętą pnącymi różami. Z tyłu weranda z ławeczkami, z widokiem na starą studnię i drewniany pomost prowadzący nad kanał, wśród tataraku, suchych traw, brązowych pałek i dzikiego ptactwa. Siedziałyśmy z Marią Nowotarską na ławce i rozkoszowałyśmy się ciepłem jesiennego słońca. Mówiłyśmy wtedy o Halce, Moniuszce, tradycji i artystach. Potem przechadzałyśmy się kolorową aleją wśród drzew i przydrożnych jesiennych kwiatów, prowadzącą przez groblę, pomiędzy rzeką a kanałem wykopanym przez irlandzkich emigrantów w dziewiętnastym wieku, spotykając po drodze rodziny gęsi, kaczek i żółwi wyciągających głowy ze swoich ciemnych pancerzy, pousadzanych rzędem na zwalonych pniach. Maria przyjechała do nas jeszcze kilka razy z Toronto autobusem, żeby w spokoju przygotować materiał o podróżach Salonu i autoryzować całość.

XVIII_to wieczna farma Van Wickle House nad rzeką Raritan, miejsce rozmów z Marią Nowotarską.

Oprócz wizyt Marii Nowotarskiej w naszym domu w New Jersey bardzo ważne były moje podróże. Wiele razy jeździłam do Toronto, spotykałam się tam nie tylko z Marią, ale i z Agatą w Mississaudze w jej pięknym domu o artystycznym charakterze oraz z innymi artystami. Byłam też w Polsce. W Krakowie zatrzymałam się w mieszkaniu Marii Nowotarskiej i Jerzego Pilitowskiego przy ulicy Senatorskiej. Zaprosili mnie do siebie na

wino i ciasto niezwykle życzliwi sąsiedzi, państwo Daniszewscy, opiekujący się mieszkaniem. Dużo się wtedy dowiedziałam o krakowskim barwnym życiu bohaterów pisanej przeze mnie książki. Wzruszyła mnie koleżanka Marii Nowotarskiej ze szkoły, nieżyjąca już pani Jadwiga Skiba. Z jaką miłością mówiła o domu „Marysi i Jurka", o niezapomnianej pani Helenie, mamie Marysi, i o wiecznym artystycznym gwarze, który było słychać w tym mieszkaniu. Dużo czasu poświęciła mi pani Wanda Zając, sekretarka w Teatrze im. Juliusza Słowackiego, która oprowadziła mnie po teatralnych zakamarkach.

Scenariusz książki wielokrotnie ulegał przebudowie. Nawet gdy miałam dokładny plan, który starałam się realizować, w trakcie pisania okazywało się, że jednak ostateczna wersja będzie inna. Przeprowadziłam 270 godzin wywiadów, spisanie ich było zaledwie pierwszym etapem pracy. Aby uzyskać jednolity charakter stylistyczny, wypowiedzi osób występujących w książce zostały zmodyfikowane przez moje pióro, przy zachowaniu ich intencji i indywidualności. Na podstawie wielu rozmów stworzyłam własny obraz, przesuwając „kamerę" z planu na plan i oddając głos kolejnym postaciom. Bohaterowie mojej opowieści zgodzili się z taką formą przekazu. Potwierdzeniem, że to dobry kierunek, była aprobata pisarzy, którzy czytali fragmenty tekstu – Kazimierza Brauna, Kiry Gałczyńskiej i Jarosława Abramowa-Newerlego. Dodało mi to skrzydeł.

Ostatni etap pisania książki to telespotkania z Marią Nowotarską. Umawiałyśmy się na określoną godzinę i szykowałyśmy się jak na wielkie wyjście. Do tego lampka wina lub koniaku, kawa, ciasteczko i… już możemy rozmawiać. Początek rozmowy to szczegółowy opis, jak wyglądamy i co pijemy. Jacek się uśmiechał, gdy wracał z uczelni i mówił: „byłaś" dzisiaj na spotkaniu z panią Marią?

W 2013 roku nastąpiła kolejna zmiana w naszym życiu. Jacek otrzymał pracę na University of Texas at Austin. Z New Jersey przeprowadziliśmy się, jadąc przez dziewięć stanów na koniec świata – do Teksasu. Mieszkamy na przepięknym osiedlu, wśród pagórków, palm kokosowych i kwitnących kaktusów, w Austin – mieście prężnie się rozwijającym, z nowoczesną architekturą, pełnym młodych ludzi i wszechobecnej muzyki. Tylko znów trzeba było od początku budować swój świat i oswajać nową rzeczywistość.

***

Książka powstawała dużo dłużej, niż to przewidziałam, w latach 2005–2013, ale wiele się przez ten czas nauczyłam. Pisałam ją głównie w New Jersey, blisko wielkich, tętniących życiem metropolii – Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Waszyngtonu, w naszym domu pomiędzy Atlantykiem a Appalachami. Była moją przygodą z teatrem i z cudownymi ludźmi. Przywiązałam się do

niej i żal mi się z nią rozstawać. Ale od teraz musi już radzić sobie sama.

Książka jest publikacją multimedialną. Pod spisem fotografii został wydrukowany link i QR code, który przekierowuje czytelnika na stronę internetową, gdzie znajduje się galeria kolorowych fotografii w wysokiej rozdzielczości.

Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę i przyjmuje karty kredytowe.

http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/

Inne księgarnie:

http://zaczytani.pl/ksiazka/teatr_spelnionych_nadziei_kartki_z_zycia,druk

http://lubimyczytac.pl/ksiazka/3952985/teatr-spelnionych-nadziei-kartki-z-zycia-emigracyjnej-sceny

https://aksiazka.pl/produkt-302969,teatr-spelnionych-nadziei